



Nazwa instytucji

Książnica Cieszyńska

Tytuł jednostki/Tytuł publikacji

Nasi bracia w polu. [Z.] 4, Na Mazurach.

Liczba stron oryginału

32

Liczba plików skanów

32

Liczba plików publikacji

33

Sygnatura/numer zespołu **KD I 02199/04**

Data wydania oryginału **[1917 sive 1918]**

Zdigitalizowano w ramach projektu pt.

**Udostępnienie cieszyńskiego dziedzictwa
piśmienniczego on-line**



**Fundusze
Europejskie**
Program Regionalny



Śląskie.

Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego





KD I 2199/4

KD 2202

Nasi bracia w polu.



(Wojciech) Prowda
Przyjemniaczka st. 2-4

IV. Na Mazurach.

Ciebie On z wielkich przykrości wy-
bawi i w zaraźliwym powietrzu zastawi.

Mazurami nazywają tę prowincję Państwa Pruskiego,
która się ciągnie wzdłuż brzegów Bałtyku od miasta Gdańska
aż po miasto Memel, leżące u ujścia rzeki Niemna w morze.
Jest to najwięcej na północ idąca część pruskiego kraju,

granicząca z Litwą, tem samem przyległa do dzielnie Rosyi. Głównem miastem kraju jest twierdza Królewiec.

Ziemia jest płaszczystą, bardzo urodzajną; gór niema żadnych, natomiast wody, rzek i jezior dużo. Fabryk jest niewiele; rolnictwo kwitnie i dobrze popłaca. Dom cesarski w Niemczech ma w tej prowincyi duże majątki.

Ludność na Mazowszu jest z rodu słowiańska; język ludowy brzmi jak narzecze polskiego języka; lecz dziś przeważa już język niemiecki. Miejscami tylko mówią po polsku. Co do wyznania jest ewangelicką w północnych stronach, zaś na południu rzymsko-katolicką.

Starodawni Prusi czyli Prusacy byli poganami aż do połowy trzynastego wieku. Nazywano ich Borusami. Był to szczepek bitny i niespokojny i dużo od nich cierpieli sąsiedzi. Gdy wojny krzyżowe się zakończyły, nie miały zakony krzyżowych rycerzy w palestyńskiej ziemi wiele do czynienia. Dotąd przeciw Turkom wojny prowadzili i chorych chrześcijańskich rycerzy leczyli; teraz już leczyć nie było kogo. Zakon Krzyżaków składał się przeważnie z niemieckich rycerzy. Księżę mazowiecki odniósł się wtenczas do Wielkiego Mistrza, Hermanna von der Salza, i wezwał go, aby się przeniósł na Prusy i pogańską ludność podbił i nawrócił. Przyszli Krzyżacy, w Marienburgu się osiedlili, Prusów zwyciężyli, a potem na Litwę uderzać zaczęli.

Roku 1525 przemienił ówczesny Wielki Mistrz Krzyżaków dzierżawę swoją na księstwo świeckie, a to z przyzwoleniem króla Polskiego. Ziemie krzyżackie były księstwem świeckiem, zwanem Prusami; księciem zaś był Albert, z domu Hohenzollernów, którzy panowali nad Brandenburgią. Wkrótce się stało, Brandenburg i Prusy w jednym ręku były. Roku 1701 przyjął elektor Brandenburgii tytuł królewski,

nazywając się królem Pruskim Fryderykiem I. Od tego czasu rosła potęga królestwa pruskiego, aż się po wojnie z Francją roku 1871 w Cesarstwo Niemieckie przeistoczyła. Ziarnko gorczyczne wyrosło na drzewo; lecz cesarze Niemiec nie zapomnieli, że ich kolebką były Prusy Wschodnie. Nawzajem ludność owych okolic otacza monarchów taką czcią, miłością, że wszystko dla nich poświęcić gotowa. Jest to stosunek rzadkiej serdeczności.

Miedzy Rosją i między Prusami były do niedawna serdeczne stosunki. Domy panujące były ze sobą ściśle połączone, a to więzami krwi, powinowactwa. Żona cesarza Mikołaja I. była rodzoną siostrą cesarza Wilhelma I. Car Mikołaj II. i cesarz Wilhelm są kuzynami i zawsze dotąd byli przyjaciółmi. Granice państw obu są tak urządzone, że nigdy nie było sąsiedzkich zatargów ani zawiści. Prusy od Rosji ani piędzi ziemi nigdy nie żądały, a równie Rosja nigdy zazdrośnie w Prusy nie patrzyła. Najlepiej tam bywa, gdzie sąsiedzi zgodnie z sobą przebywają, a jeden drugiemu życzy, co mają.

Do tego polityka Państwa Niemieckiego zawsze z Rosją w zgodzie żyć chciała. Książę Bismarek nigdy Anglikom bardzo nie dowierzał; ale z Rosją w zgodzie żyć pragnął. Gdy Wilhelm I. blizkim się czuł zgonu, wezwał do siebie wnuka swojego, obecnego cesarza Wilhelma; niby testamentem polecił mu jedno życzenie swoje, aby z Rosją w przyjaźni zostawał. Cesarz Wilhelm II. do ostateczności tych zasad przestrzegał — a dziś najstraszniejsza wojna między nimi.

Jakże się to stało? Pierwsze oznaki nieżyczliwości były widoczne za rządów cesarza Aleksandra III. Żona jego, Marya Feodorowna, jest córką nieboszczyka króla

Danii. Od roku 1864 miała Dania głęboki żal do Prus z powodu prowincyi Schleswig-Holstein, którą jej odebrano. Wojska pruskie i austriackie to uczyniły. Może być, że cesarzowa na męża wpłynęła. Więcej zaś zdziałała inna okoliczność. Na dworze rosyjskim i w szerokich kołach panował prąd nowy, panslawistyczny, a zwolennikiem jego z przekonania był cesarz Aleksander III. Myśl połączenia słowiańskich narodów pod berłem Rosyi była marzeniem i myślą przewodnią owych polityków; stąd nieprzyjaźń wielka do wszystkich mocarstw, które owym planom były na przeszkodzie, a w szczególności nienawiść do państw Austrii i Niemiec. Do tego przyszyła nienawiść Francyi i zazdrość Anglii — a pożar wojny był przygotowany. Gdy wojna wybuchła, śpieszyły wojska niemieckie na zachód, przeciwko Francyi i przeciw Anglii. Mniejsze armie stanęły na wschodzie. Tu miały armie naszego wojska rozprawić się z nawałą, idącą od wschodu, aż zastępy Niemiec pośpieszą z pomocą.

Głównodowodzącym zastępów rosyjskich był Wielki książę Mikołajewicz, który jako Pan wojny, jak Atyla nowy, chciał posadami krajów naszych zatrząść i nową mapę Europy zrobić. Według jego planów miała ojczyzna nasza prawie zniknąć, a Niemcy mieli się znów rozdrobnić. Aby to osiągnąć, maszerowały ogromne siły na Wschodnie Prusy, a drugie armie jeszcze potężniejsze załyły Galicyę, Karpaty, chcąc iść na Wiedeń, na Wrocław, na Berlin. Armiom północnym dowodził Rennenkampf, armiom galicyjskim Ruski i Dimitriew.

Rennenkampf i Ewers są Kurlandczykami, z rodzin niemieckich, a według wyznania ewangelikami. Ruski i Dimitriew, jako też Wielki książę Mikołaj są prawosławni, wyznania grecko-katolickiego.

Wojska Rennenkampfa przeszły granicę na Wschodnich Prusach i jak szarańcza cały kraj zalały. I rzeczywiście były jak szarańcza, bo cały kraj piękny w istną pustynię w chwili przemieniły.

W pierwszych dniach sierpnia przekroczyła armia rosyjska granicę pruską koło Eydkuhnen, wzdłuż kolei żelaznej, idącej z Rosyi do Prus, i w szybkim pochodzie południową część prowincyi zalała.

W dawniejszych czasach, szczególnie pogańskich, było wkroczenie nieprzyjaciela zupełnem zniszczeniem kraju i jego mieszkańców. Mordy, pożogi oznaczały miejsce, którędy wróg przeszedł. Dziś się pojęcia nieco zmieniły. Wojny nie prowadzą przeciw jednostkom, lecz przeciw państwom. Prywatny człowiek powinien tedy znaleźć uwzględnienie tak co do osoby, jak mienia swego. Wojska austriackie weszły do Serbii, do Czarnogóry, do dzielnic Rosyi, zabrały, czego potrzebowały, ale za pieniądze! Plądrowania, gwałtów nigdzie nie było. Równie postąpiły wojska niemieckie. Prawda, w Kaliszu postąpiły ostro, — ale dlatego, że na nie strzelano z ukrycia, z sasadzki. Tak samo w Belgii w niejednym mieście do krwawych zająć przyszło, bo ludność tamtejsza strzelała na wojsko i dużo ludzi podstępnie zabiła. Gdy te rozruchy się uspokoiły, nie doznała ludność najmniejszej przykrości. Co wojsko zabrało, za wszystko gotówką dobrze zapłaciło, a z biegiem czasu wytworzyły się przyjaźne stosunki między żołnierzami i ludnością kraju, jak dobrzy sąsiedzi z sobą przebywają. Żołnierz zwycięzców jest także człowiekiem, ma w domu swoją własną rodzinę, żonę i dzieci, w których otoczeniu prowadził życie ciche i spokojne. Umie więc szanować ludzi i rodziny zdobytego kraju i bardzo się cieszy, gdy

u nich znajdzie ludzkość i uprzejmość. Że musi iść w domy rodzin w obcym kraju, to nie jego wina. Dobrze więc czynimy, gdy nie zapominamy owej zasady, która nas uczy szanować w wojnie osobę i mienie ludzi prywatnych.

Armia rosyjska w niejednem miejscu na to uważała. W miastach Galicyi znalazły się domy prawie nietknięte przez nieprzyjaciela, gdy tymczasem inne zboczono, zniszczono w sposób barbarzyński. Lecz w najokropniejszy sposób postąpiła sobie wobec ludności na Wschodnich Prusach. Gdy wojna wybuchła, ogarnął ludność strach i przeżenie. Bogatsze mieszczaństwo, wyżsi urzędnicy i ludzie majątni brali swe skarby i uciekali, zdala od granicy szukając schronienia. Na miejscu została tylko ludność wiejska i mieszczenie ubożsi. Ale ci wszyscy na sobie doznali, co wojna znaczy.

Rosyanie wpadli jak hordy tatarów, wszystko spłądowali, spalili, zabrali, ludzi mordowali, kobiety gwałcili, jak upojeni. W pewnej wiosce wszystkich mieszkańców na jedno miejsce spędzili, kazali im uklęknąć na ziemi, złożyć swe ręce, gotować się na śmierć. Naprzeciw klęczących stali żołnierze długim szeregiem; każdy miał w ręku nabity karabin, celując w piersi bezbronnych wieśniaków. Na komendę wodza mieli dać ognia i wszystkie osoby bezbronne postrzelać. Było podejrzenie, że minionej nocy strzelił ktoś w gminie na kozaka mimo idącego, choć go nie trafił. Za karę za to wszyscy ludzie wioski mieli iść na śmierć. Usiłowaniam i błaganiom księdza udało się przecie przebłagać gniew wroga, że wszystkim kobietom darował życie; lecz mężczyźni mieli być rozstrzelani. Dalsze błagania tyle osiągnęły, że każdy szósty miał poledz śmiercią, aż wkońcu wszystkich ulaskawiono, gdy się okazało, że ów wy-

strzał w nocy został oddany przez ludzi obcych, a nie miejscowych.

Na progu domu stał sędziwy starzec, patrząc na pogoń przelatującą. Kozak mimo pędząc, strzelił do starego i trupem położył. Skoczył do chatki, chcąc kraść, rabować; lecz gdy nie znalazł, poleciał dalej. Gdzie jaką dziewczynę albo kobietę dostali w swe szpony, haniebnym sposobem pastwili się nad nią, a pogwałconym śmierć zadawali. Gdy przyszli do miasta, wpadali do domów, bijąc, rabując, a gdy pozbierali, co unieść mogli, podłożyli ogień i wszystko spalili. Piękne miasta i wioski pruskiego kraju stały ruinami, a ludność w lasach i różnych zaroślach szukała schronienia. Tak Rosyanie w Prusiech szafowali.

Można rzec, że to zrobili kozacy, dzieci, zuchwali, niepowstrzymani. Prawda, że w wojsku Rosyi różne są żywioły. Obok kozaka, chciwego łupu, obok czerkiesa zuchwałej natury jest magnat rosyjski, oficer pułku, który w Paryżu albo w Londynie ukończył szkoły i nader troskliwie miał wychowanie. Jeden na stepie harcuje koniem, drugi w cesarskich obraca się salach. Nie łatwo tym panom przebywać z dziczą, — lecz wojna wszystkie stosunki przemienia. Wszelako nie brak i u oficerów srogości, okrucieństw. Wpadł do niewoli pewien oficer; gdy kieszenie jego przeszukiwano, znalazł się w jednej palec jakiejś pani ze złotym pierścieniem. Nie mogąc na prędce zdjąć z ręki pierścienia, zabrał go z palcem, gdy najprzód ofiarę zgwałcił, zamordował. U innego znowu znaleźli papier z rozkazem komendy. Naczelnik armii wydał do pułków rozkaz na piśmie, by na majątkach prywatnych cesarza Wilhelma II. wszystkich leśniczych zaraz postrzelali. Wpadł w ręce Niemców pewien generał rosyjskiego wojska. Gdy pakunki jego bliżej

przeglądali, znaleźli wazon ze szczerego złota, przesłicznej roboty, który do pewnej bogatej rodziny należał. Wiadomo, że Rosyanie wyprawiali rozliczne łupy zajętych okolic do kraju swego. Jak mogli mężowie, Rennenkampf, Evers, Wielki książę Mikołajewicz takie rzeczy cierpieć? Gdzież ich kultura i wychowanie? Gdzie religia, której sobie naród rosyjski waży? Tak wojna wszystkie chuci człowieka uwalnia, podsyca!

Ludność Prus Wschodnich, o ile nie padła, się nie ukryła, w niewolę nie poszła, uciekała z miejsca, szukając schronienia we wnętrzu kraju, w miastach niemieckich. W Berlinie bawiła wielka liczba rodzin, kobiet i dzieci. Wszyscy znaleźli najlepsze przyjęcie, zaopatrzenie i serca życzliwe, aż przyszła chwila, że znów do kraju powrócić mogli. Chwila ta przyszła nad spodziewanie, nadzwyczajnie prędko.

Gdy Madyanici najechali ziemię izraelską i bardzo ją utrapili, wspomnił sobie Pan Bóg na Izraela i zesłał pomoc w osobie skromnego kmiotka Giedeona. Nie pochodził on z rodu wysokiego, nie miał żadnych zasług wobec ludu swego, lecz go Bóg obrał, by uwolnił naród. Chytrym pomysłem i odważnem sercem zdołał Giedeon ocalić ojczyznę. Trzysta odważnych, dobranych ludzi mu wystarczyło, by Madyanitów i wielkie ich trzody wypędzić z kraju za pomocą dzbanów, pochodni i trąb, których umiał użyć w sposób bardzo zręczny.

Na oswobodzenie kraju pruskiego przygotował Pan Bóg męża sędziwego, żołnierza zdolnego, o którym jednak świat niewiele wiedział. Paweł Hindenburg był synem rodziny pruskiej oficerów, urodził się roku 1847 w Poznaniu, gdzie ojciec jego był majorem w wojsku. Później

dostał się do Wschodnich Prus, gdzie Paweł, syn jego, uczęszczał do szkół. Szczególniejszem upodobaniem młodego studenta było chodzić po kraju, zwiedzać jego lasy, rzeki i jeziora i tym sposobem poznać ich piękność i położenie. Nie dużo było obywateli, co Prusy Wschodnie tak dobrze znali, jak młody Hindenburg. I w latach późniejszych, gdy kiedy miał urlop, uczuwał pociąg do kraju pruskiego i tam każdą chwilę na wolności spędzał. Opowiadają, że cesarz Wilhelm podniósł myśl, jakby jeziora kraju można osuszyć i zyskać przez to rozległe przestrzenie dla uprawy roli. Hindenburg prosił o posłuchanie, z zapalem broniąc swych miłych jezior, które uważał za istną fortecę, gdyby kiedy przyszło do wojny z Rosyą. Nie pomyślał sobie, że mu będzie dano na tym terenie wielkie rzeczy zdziałać.

Gdy liczył lat 18, wstąpił do wojska, służąc królowi i ojczyźnie swojej, jak wszyscy członkowie jego rodziny. Roku 1866 został oficerem, walczył pod Trautenau i pod Sadową, odbył wyprawę roku 1870, z której szczęśliwie powrócił do domu. Służył ojczyźnie w rozlicznych miejscach, aż doszedł wysokiej rangi generała. Roku 1911 czuł się trochę słabym i prosił o uwolnienie od służby czynnej. Na emeryturze żył w mieście Hanower. Wtem wybuchła wojna. Stary generał prosił o przyjęcie do służby czynnej. Nie myślano o nim na samym początku. Komendę wojsk wschodnich innym poruczono. Gdy jednak w tym względzie przyszło do zmiany, wspomniął sobie cesarz na Hindenburga i jego postawił na czele wojsk wschodnich. Za ten wielki dowód ufności cesarskiej czuł się Hindenburg głęboko wzruszonym i do wdzięczności mocno pobudzonym. Dotąd o tym mężu prawie nie wiedział nikt, a naraz zasłynął na całym świecie; imię jego jest dziś najpopularniejszym. Nieznany Gideon został bohaterem.

Dwie albo trzy cnoty zdobią charakter tego wojownika. Pierwszą jest jego spokój niezachwiany. Gdy inni drżą w sercu w nawale wypadków — on spokojnie czeka, aż przyjdzie chwila do uderzenia. Drugą zaletą jest bystre oko wodza i hetmana, co umie wyzyskać wszelką korzyść chwili; trzecią nadewszystko — jego pobożność! Hindenburg to człowiek szczerej pobożności. Nasza siła nie nie zdoła, w klęskach prędko giniemy. Lecz do boju wódz nas woła, z nim pewnie zwyciężymy!

Jeziora Prus Wschodnich dzielią się na dwie grupy; na jeziora wielkie i jeziora małe. Jeziora wielkie są od strony wschodu około Łycka, Lötzen, Angerburga. W tych stronach nieprzyjacieli źle gospodarował. Hindenburg stanawszy na czele armii, nie chciał się tam spotkać z nieprzyjacielem. On w sercu umyślił na inne miejsce go zaprowadzić. Jeziora mniejsze, dalej na zachód, dla planów jego odpowiadały.

Było to roku 1410. Na tronie polskim siedział król Jagiełło. Mistrzem zakonu Krzyżaków w Prusiech był rycerz Ulryk v. Jungingen. Między Polską i Krzyżakami ciągle w tych czasach były utarczki. Krzyżacy koniecznie chcieli zająć Litwę, a księżę Litwy, król polski Jagiełło, bronił swego kraju. Przyszło do walki ciężkiej pod Grunwaldem, czyli Tannenbergiem, na Wschodnich Prusiech. Z początku się zdało, że Krzyżacy górą, ich lepsza zbroja, ich większa wprawa była rękojmnią świetnego zwycięstwa. Ale Litwini i szlachta polska, wielką niechęcią do wroga zdjęci, rzucili się wściekle na jego szeregi i straszną Krzyżakom sprawili matnię. Wielki mistrz Jungingen i kwiat rycerstwa poległ na polu, a moc Krzyżaków na długie czasy była złamaną. Często w późniejszych epokach dziejów spoglądała Polska

na tę krwawą chwilę pod Tannenbergiem, mając w tem pewne zadośćuczynienie za niejedną przykrość, jakiej w biegu wieków doznała. Gdy Hindenburg obrał miejsce koło Tannenbergą, gdzie z wojskiem rosyjskiem chciał stoczyć walkę, miał pewnie na myśli, że zwycięstwem tam odniesionem zgładzi pamiątkę onej dawnej klęski, którą niegdyś Niemcy przez Słowian ponieśli. Wynik wykazał, że obliczenie jego było dobre. Roku 1410 pobili Słowianie pod Tannenbergiem Niemców; zaś roku 1914 pobili tam Niemcy wojska słowiańskie. Tak się wyrównali.

Jeziora mniejsze na Wschodnich Prusiech są jakby pasmem przesłicznych pereł, jedna obok drugiej. Tu jest n. p. jezioro Niedersee; na brzegu jego śliczna wioska Nieden. Ma piękne pola i bujne lasy. W tych stronach mają ludzie drzewa dosyć, dlatego nie tylko ogrody i grządki, lecz całe role parkanem otaczają. Dalej jest jezioro Beldahnsee; na brzegu tegoż miłe miasteczko Nikolaiken. W jeziorze są ryby słynnego gatunku, które w Berlinie są poszukiwane. Dalej jest Spirdingsee, jedno z największych jezior tej grupy. Obok tegoż jest inne maleńkie jezioro, którego woda ma kolor ciemny. Ludzie powiadają, że dawnymi czasy przyszli tatarzy w te odległe strony. Ludzie się bronili i wojska tatarskie do wody wpędzili, od którego czasu te wody są ciemne. Czy walki tamtejsze też wód niezaczernią? — Dalej są wody zwane „Rudzcani“ i wiele innych. Wszystkie te jeziora są z sobą złączone naturalną rzeką lub sztucznym kanałem, tak iż gdy kto siedzie na łódce lub okręt, przez wszystkie przepłynie, nigdzie nie musząc wysiadać na brzeg.

Wzdłuż brzegów jezior prowadzą drogi dobrze wydłóżone, jak wszystkie drogi w Państwie Niemieckiem. Nad

kanalami wznoszą się mosty, by komunikacya nie była przerwana, a oprócz tego idą koleje, które części kraju ze sobą łączą.

Od zachodniej strony idą kolony niemieckiego wojska, konnica, piechota, artylerya; za nimi kolony z amunicją, z żywnością dla ludzi i koni. Wśród licznych pułków widać okazałą postać Hindenburga, otoczonego sztabem oficerów. W miasteczku Tannenberg stanął kwaterą i tam urządził stanowisko swoje. Jak nerwy ciała schodzą się w głowie i stąd na wsze strony rozkazy niosą, tak z Tannenbergą idą telefony i telegrafy do wszystkich oddziałów armii niemieckiej, niosąc rozkazy naczelnego wodza, donosząc z pola o wypadkach walki. To trwało dni trzy, 27., 28. i 29. sierpnia 1914.

Koło miasta Hohenstein padły pierwsze strzały, tam przyszło do starcia. Odezwały się działa z jednej i drugiej strony. Pierwsze ofiary wojny padały. Ponieważ nieprzyjaciół osadził się w mieście, więc go stąd wyprzeć było potrzeba. Huczały wystrzały, lała się krew; a rzecz to dziwna, jak w wojnie się dzieje. Pewien podróżny, który po dniach kilku odwiedził miasto, donosi w opisach, że widział domy całe rozwalone, do szczytu spalone od kul granatowych. Tuż obok gruzów stoi dom inny, wcale nie tknięty. Na oknach stoją donice z kwiatami. Piękne fuksye są w pełnym kwiecie, jakby nigdy w mieście wojny nie było.

Wre walka zacięta; wojska niemieckie postępują naprzód, Rosyane wściekle stawiają opór. Skrzydła armii niemieckiej się ciągną, centrum stoi mocno, to idzie naprzód, to się znowu cofa; tak było dzień drugi. Nie wiedzieć, co będzie; dlaczego Hindenburg nie uderza ostrzej? Na

trzeci dzień walki donosi telegraf: „Półkoło złęczone!“
Biją wroga z boków, biją go z tyłu; tak go na drodze
wśród lasów prą naprzód coraz to ściślej między wody
jezior. Front wojsk niemieckich w tył ustępuje, aby nie-
przyjaciół głębiej się jeszcze między wody dostał; a gdy
tam stanął, dokąd Hindenburg chciał go zaprowadzić —
zamknęła się łapka. Armie rosyjskie między jeziorami, a
z przodu i z tyłu, a z prawej i lewej biją granaty niemiec-
kiego wojska, prą i spędzają, a tu wyjścia niema. Między
jeziorami i bitą drogą ciągną się manowce, zdradzieckie
bagniska. Jest wysoka trawa, jak na bagnach rośnie. Ro-
syjanie zbici na bok z twardej drogi, do niej się chronią.
Ale, o zgrozo! Grunt nie jest stały, owszem błotnisty, a
konie i ludzie, wozy i działa brną powoli w błocie, teraz
po kolana, teraz po biodra, teraz już po szyję, powoli
głębiej i głębiej toną — jeszcze chwil kilka, zupełnie za-
toną; będzie tylko bańka na powierzchni wody, jedna
i druga, prysnąca w powietrzu, dając świadectwo, że na
tem miejscu człowiek albo zwierzę w bagnie zatonał i
ostatni z siebie dech powietrza wydał. Żadna ręka ludzka
nie była w stanie nieszczęśliwego z tej toni wydostać. Kto
zaś choćby cudem przekroczył bagno, dostał się do wód
jeziora — i zginął. Piećdziesiąt tysięcy rosyjskiego wojska,
tysiące koni i wozów armatnich tak zatono. Opowiadają,
że ludzie tonący z takim przerażeniem, z taką rozpaczą
krzyczeli, błagali, że konie rżały, okropnie farskając, iż tego
zgiełku i tego ryczenia przenieść nie było można. W wo-
jennym zapale straci każdy żołnierz spokojność umysłu —
ale gdy te krzyki i ta straszna rozpacz się rozlegała, nie-
którzy żołnierze niemieckiego wojska uszy zatulali, by tego
nie słyszeć. Innym się łązy łązy i serce moeno z przerażenia

biło — przecież to też ludzie, choć nieprzyjaciele! Wkońcu podszedłszy błagali wodza, aby zniszczeniu położył koniec.

Zamilkły działa, zatrzymał się pochód. Wojska rosyjskie podniosły ręce, porzuciwszy broń, i tak się poddały. Dziewięćdziesiąt tysięcy narodu wzięto do niewoli, do tego koni, dział, amunicyi, wozów z żywnością i zapasami mnóstwo niezliczone. Gdy w sobotę dnia 29. sierpnia 1914 słońce na zachodnim niebie stało, wszystka ta straszna robota tygodnia była ukończona. Często myśleliśmy, jak też to było, gdy król Faraon i wojska jego w nurtach wielkiego Czerwonego morza się potopiły! Gdybyśmy w on dzień stanęli na brzegach Mazurskich jezior, toby się obraz starodawnych czasów przed nami powtórzył.

Mojżesz historyi i lud izraelski cudem wybawiony upadli przed Panem, dziękując Bogu za wybawienie. Uczucie wdzięczności ogarnęło serca i korna modlitwa wzniosła się do Boga nie tylko wśród wojsk, które zwyciężyły, lecz w całym kraju. Prawda, że radość nad świetnem zwycięstwem była przytłumiona, gdy człowiek pomyślał, że tyle ludzi życie utraciło w sposób tak okropny. Bo przecież człowiek, choć nieprzyjacielem, zawsze jest człowiekiem. A cóż oni biedni, którzy zatonęli, winni tym klęskom, które świat gnębią? Jak bydlę ich wzięto z domu i od pracy i „zapędzono“ w strony dalekie, gdzie walczyć muszą przeciwko ludziom, których nie znali, ba nawet nigdy o nich nie słyszeli. Ci co lekkomyślnie ten straszny przelew ludzkiej krwi wzniecili, ciężko przed Bogiem odpowiadać będą.

Po skończonej bitwie.

Gdy bitwa się skończy, gdy tak zwyciężeni jak i zwycięzcy ustępują pola, trzeba przedewszystkiem na pobojowisku

przywrócić porządek. Na pierwszym miejscu zaopatrzeć rannych. Idą „saniteci“, odszukują rannych, zawiązują, uprowadzają do domów, szpitalów, aby ratować, co jeszcze żyje. Indziej wspomnieliśmy, jaką w tym względzie psy sanitetów odgrywają rolę. Na drugim miejscu jest pogrzeb poległych, tak ludzi własnych jak nieprzyjaciela. Straty niemieckie nie były tak znaczne, choć zawsze były, jak po każdej walce. Tych pozbierano i z nabożeństwem złożono w grobach, by po trudach ciężkich odpoczywali. Wdzięczność i pamięć ojczyzny, narodu nigdy nie ustanie. Anioł pokoju czuwa nad nimi. Na grobach zatknięto proste krzyże z drzewa, najczęściej brzoźowe, na nich zawieszono wieńce z gałązek i kwiatów polnych. Na wierzchołku krzyża zatknięto szyszak padłego żołnierza, pod nim miecz jego do drzewca wbity. U dołu głazy z napisem dnia śmierci, niekiedy imienia. Te proste pomniki wydadzą świadectwo, że tu spoczywa wierny syn ojczyzny, który za cesarza i za ojczyzną życie położył.

Zatem się biorą do sprząwania rzeczy. Dawniej bywało, że pozostałości nikt się nie troszczył. Maroderowie lub łupieżność miejscowa je pozbierała. Miejscami i dzisiaj ten sposób istnieje. Lecz praktyczni Niemcy innego porządku świat nauczyli. Idą żołnierze pospolitego ruszenia, mężowie starsi, niezdolni do broni i sprząają wszystko, co na polu leży.

Mam przed sobą obraz takiego zbierania, gdy rzeczy trochę uporządkowano. Na jednej kupie leżą same karabiny i bagnety, całe, połamane, rozbite — w ogromnej liczbie. Na drugiej kupie leżą szable, pałasze, rewolwery i t. p. Na trzeciej kupie połamane wozy, koła, pierścienie gumowe od automobilów, liny, powrozy, siodła, strzemiona; na czwartej kupie płaszcze, surduty, części mundurów i co

jest takiego. Te rzeczy idą do magazynów, gdzie je przebierają, do fabryk oddadzą, tam przerabiają i na nowo do użytku biorą. W obecnych czasach, gdy nas nieprzyjaciel od świata odłączył, musimy się starać, by ze starych rzeczy robiono nowe i tym sposobem niedostatkowi zapobiegano. I tu ma miejsce, co rzekł Pan Jezus, mówiąc do uczniów: „Zbierzcie te ułamki, by nie nie zginęło.“

Kłeska Rosyan pod Tannenbergiem była ogromna i tylko mocarstwo takich rozmiarów i takiej ludności mogło ją przenieść. To też widzimy, że wojska Rosyi przestały na razie najeżdżać Prusy, choć później znowu do nich wróciły — ale akcyja przeciw Austrii nie osłabiała. Potrzeba było nowej lekeyi.

W głównej kwaterze wojska rosyjskiego powstało pytanie, kto kłeskę wielką pod Tannenbergiem prawdziwie zawinił? Winowajcę bowiem wypada ukarać! — Może tu winy prawdziwej nie było. Jeżeli Hindenburg był strategiem lepszym niż nieprzyjaciele, to stąd nie wynika, że słabsi wodzowie winę popełnili. Lecz trzeba ofiary. Więc Wielki książę Mikołajewicz wpadł na Rennenkampfa, jak majster szewski wpada na ucznia, i bije, traktuje. Zerwał epulety, oznaczające rangę generała, o ziemię rzucił i nogami zdeptał. Taką nagrodę odebrał Rennenkampf za swą gorliwość i poświęcenie.

Gdy się rozniosło: „Rusi zwyciężeni, ziemia mazurska znowu uwolniona“, tedy zastępy wychodźców z kraju wracały do domu; z Berlina, z Hamburga, ze wszystkich okolic, tęskniąc do ojezyny, pragnąc spalone, rozwalone domy popreparować, aby przez zimę mieć w domu schronienie, nie musieć się tułać po obcych progach. Doznali na drogę niejednej zachęty i pocieszenia, nadewszystko przez to, że ich

kochany cesarz zapewnił, iż naród cały i Państwo całe zagoi rany, które ponieśli; odbuduje domy, stodoły i stajnie, które ręka wroga nikczemnie spaliła. Jest stare podanie o ptaku Feniks, co w nowej piękności z popiołów powstał. Tak Prusy Wschodnie w nowem ozdobieniu miały znowu stanąć. I powstawały — lecz chwila wolności jeszcze nie nadeszła. Jeszcze raz burza powrócić miała — i powróciła.

Dru ga wał ka na Ma zu ra ch.

Zdawało się, że po strasznej klęsce w Mazurskich jeziorach Rosyane więcej na Wschodnie Prusy się nie odważą. Lecz w radzie księcia Mikołajewicza inaczej było postanowiono. Dwie wielkie armie stanęły w polu. Jedna parła na zachód na Austryę, Galicyę, Węgry; druga przekroczyła granice niemieckie i zalawszy Prusy Wschodnie, chciała na Poznań przebić się na zachód, dotrzeć do Berlina i zalać Niemcy. Równocześnie mieli Francuzi i Anglicy wielkimi siłami uderzyć na Niemcy, zbić je i ścisnąć, jak pręt żelazny kleszczami siekają.

W dawniejszych czasach w porze zimowej nie bojowano. Gdy jesień nastała, szukał każdy hetman dogodnego miejsca na zimowe leże dla swego wojska. Co znaczyło w zimie prowadzić wojnę, tego doznał na własną zgubę największy geniusz wojenny na świecie, cesarz Francyi, Napoleon I. W jesieni roku 1812 dotarł do Moskwy, chcąc zmusić cesarza Rosyi Aleksandra I. do przyjęcia takich warunków pokoju, jakie podyktuje. Tymczasem Rosyane poświęcili Moskwę, spalili ją a Napoleona zostawili w pustkach, bez chleba, opału, iż nie pozostało nic innego, jak w późnej jesieni puścić się w drogę na powrót do domu. Tymczasem



okropne nastały mrozy, które wspaniałą armię cesarza w niwecz obróciły. Głód i mróz okropny, podjazdy Rosyan i epidemie wojsko francuskie do szczytu zniszczyły. W wojnie obecnej liczyła Rosya, że wojska nasze podobny los spotka.

Dużo wycierpiały w zimowej porze. Wycierpiały w lasach i na skałach Karpat, wycierpiały w Polsce i na zachodzie, w okopach i w marszach — ale jednak wszystkie trudy wytrzymały i nie zginęły, jak prorokowano. Ta wojna wszystkie teorye wojny do gruntu zmieniła. Gdy zima minęła, nowe siły stały, w Karpatach, w Polsce, we Wschodnich Prusach i na każdym miejscu. Gdy się okazało, że wojna przed zimą się nie zakończy, starały się rządy o dobre odzienie dla wojska na zimę, o żywność dla ludzi i wszelkie potrzeby, a tak się udało, choć z przykrościami, doczekać się wiosny.

W późnej jesieni roku 1914 wkroczyły wojska rosyjskie do Prus, nie pomnąc klęski, którą poniosły pod Tannenbergiem; zalały kraj cały i znowu chcieli dostać się na Berlin.

Pewien podróżny, co o tym czasie zwiedził miejsca kraju, pisze o swoich spostrzeżeniach tak: „Przyjechałem do Królewca w nocy. Na dworcu kolei wszędzie pełno kobiet i płaczących dzieci, które na dworze noc spędzić muszą. Na ulicach miasta wielki ruch wojskowy, automobile pędzą tam i sam, wracając od frontu, to znowu tam jadąc; podjazdy z rannymi śpieszą do szpitalów — słowem ruch jak mrowia. Przyszliśmy do Tapiau. Wszystko, co po drodze widać i słyszeć, przedstawia obraz wielkiego zniszczenia. Snują się okopy, są parkany z drutu. Mosty rozbite nie pozwalają przejścia przez rzekę. Filary mostów tylko się ostały, wszystkie inne części leżą we wodzie.

Na rynku miasteczka jest kościół niewielki, kula armaty przebiła powałę, co do reszty dosyć nie uszkodzony. Tem więcej zniszczone są domy naprzeciw; leżą belki, deski, dachy i kamienie; przez mury rozbite widać do wnętrza. Piece rozwalone, sprzęty połamane. W jednym pokoju stoi kołyska nawpół rozbita. Czy było w niej dziecko, gdy kula wleciała? Trudno dziś rozpoznać.

W miasteczku Uderwangen stanęliśmy trochę. Tam prawie nie niema, jak tylko ruiny. Widać kobiety, nędzne, zapłakane, po ruinach chodzą, zbierając rupiecie. Tu i tam się zjawia starszy mężczyzna, wszyscy zawałani i błotem okryci. Kobiety ze łzami opowiadają, jak dzieci zginęły, jak krewnych, znajomych pozabijano.

W Damnau widzieliśmy prawie wszystkie domy zwalone, zniszczone; a co było z drzewa, spłonęło w płomieniach. Okna wywalone stanowią otwory, które wyglądają jak ludzkie czaszki. Od czasu do czasu kruszą się mury, spadając na dół. Na niewielkiem wzgórzu stoi kościółek, dobrze utrzymany. Obok niego chatka, gdzie kościelny mieszka. Wezwał mię do wnętrza, pokazał izdebkę, w której mieszkały dwie stare kobiety. Każda szafeczka i każda skrzynka były rozbite i wylamane. Co te dwie staruszki w długiem swem życiu poodkładały w różnych rupieciach i drobnych pamiątkach, wszystko na podłodze rozrzucone leży. Żołnierze rosyjscy, szukając pieniędzy, wszystko rozrzućili.

Następnego dnia przyjechaliśmy do Allenburgu. Naokoło wszędzie były okopy, nasze i rosyjskie. Na drodze chaos wielkich drzew ściętych, belki i druty, pomiędzy tymi okropne jamy, które wybiły działowe kule. Mosty na drodze, wiodącej do miasta, porozbijane; domy w mieście

wszystkie zniszczone, spalone. Koło dróg widać, tu i ówdzie grób, w którym Rosyanie swoich pogrzebali.

W Ortelsburgu było rosyjskie wojsko przez sześć dni. Domy miasta leżą w gruzach i ruinach; wszystkie śpiżarnie są wypróżnione. Mieszczanie się skarżą, że wszystko, co mieli nieprzyjaciół zabrali. Sprzęty, odzienie, fortepiany — wszystko Rosyanie włożyli na wozy i za granicę kraju wywieźli. Największe jednak spustoszenie było w powiatowym mieście Lyck. Domy rozstrzelane, mury rozwalone, szczyty rozbite, dachy zawalone, wieże kościołów poobalane. Przez okna wybite widać do zupełnie zniszczonych pokojów, których meble, krzesła, łóżka i szafy rozbite, strzaskane leżą na ulicach miasta. Gdy kto chce mieć obraz spustoszenia wojny, niech tam tylko spojrzy, a do głębi serca wzruszony będzie. Tak wyglądało na Wschodnich Prusach po drugiem wkroczeniu nieprzyjaciela.“

Lecz czemuż wojsko nie broniło kraju? Rosyanie weszli z takimi siłami, że tam stojące armie nie mogły stawić oporu. Sił większych na razie nie było można sprowadzić na miejsce, bo na zachodzie, w Karpatach, w Galicyi i w Królestwie Polskiem były potrzebne. Lecz przyszła chwila, że zrobiono swoje.

Wojska niemieckie złożone z landwery i pospolitego ruszenia ugrupowały się i stały w okopach. Zadaniem ich było zatamować drogę nieprzyjacielowi, powstrzymać w pochodzie, aż posiłki przyjdą. Tak powstały bitwy na całej linii. Rosyanie gwałtem chcieli przełamać szeregi obrońców. Na niejednem miejscu brali się do szturmów, ale obrońcy trzymali się dzielnie. W dzień Narodzenia Pańskiego 1914 szturmowały wielkie zastępy trzeciej armii sybirskiej stanowiska Prusów pod „Nietlitzer Bruch“, przechodząc przez

bagna aż po piersi w wodzie, aby tylko dotrzeć do nieprzyjaciela, lecz i te zamiary spełzły na niczem. Obrońcy, broniący domów i rodzin, byli gotowi do ostatniego poświęcić życie, byle tylko wroga z niczem odprawić, co się też udało.

Z początkiem lutego 1915 było Niemcom można większe siły zbrojne odebrać z miejsc innych i rzucić na Prusy. Ruch na kolejach ustał zupełnie; przez czas niejaki szły tylko pociągi z wojskiem i działami i amunicją; we dnie i w nocy pędziło wojsko ze wszystkich stron kraju — od strony zachodu, z okolic belgijskich; od południa, z Austrii, z okolic Karpat — wszystko wielkim kołem jechało na Berlin, stąd na Wschodnie Prusy.

Na wejściu do kraju rozdzieliły się wojska na dwie części. Jedna armia śpieszyła na północ; koło miasta Tylży się ugrupowała. Druga armia stanęła z południa koło miasta Białej i Johannisburga. Uszykowanie zrobiono z tyłu, poza liniami pospolitego ruszenia pruskiego, poza okopami własnego wojska. Tak Hindenburgowi wszystko się udało, że Rosyanie nie nie spostrzegli. Nie mieli pojęcia, że się przed nimi znaczniejsze siły nieprzyjaciela grupują do boju.

Dnia 7. lutego 1915 południowy oddział ruszył się z miejsc; trochę później oddział ze strony północy zaczął kroczyć naprzód. Ziemię pokrywały wysokie śniegi, zupełnie zmarzłe; na jeziorach były grube, mocne lody. Dnia 5. lutego wielkie śniegi spadły, całą okolicę grubą powłoką białą pokrywając. Potem ogromne nastały mrozy. Powstały wiatry, które ogromne zawieje przyniosły. Koleje ustały; drogi tak były zawałone śniegiem, że konie naprzód kroczyć nie mogły, a automobile wcale nie jeździły, bo się

przez zawieje przebić nie mogły. Dla pieszych marsze były utrudnione.

Komenda Niemców przewidywała, jakie trudności nastąpić mogą. Z niemi więc liczyła. Wojsko było dobrze zaopatrzone i przyodziane. Na sta tysiący sań przygotowano; jedne były lekkie i zręczne, dla użytku chorych i poranionych, drugie zwyczajne i bardzo silne do wożenia ciężarów zastosowane.

Południowy oddział musiał maszerować przez ogromne lasy, jakich 40 kilometrów drogi. Gdy tę przestrzeń przebył, stanął na brzegach rzeki zwanej Pissek, która z jeziora Spirding wychodzi, a między Łomżą i Ostrołęką do Narwi wpada.

Johannisburg i Białła były w ręku Rosyan, którzy tam znaczne załogi mieli. W jednym z tych miasteczek urządzili sobie w niedzielę wieczór dnia 7. lutego muzykę z tańcami. Dobrze się bawili do samego rana, aż tu naraz przed nimi nieprzyjaciół stoi. Wśród okropnych śniegów zrobiły siły niemieckie w tym jednym dniu drogi kilometrów 40 i przeszły przez rzekę wśród nocnej ciszy. Gdy na Johannisburg postępowano, zjawiała się naraz kolona Rosyan, idących od Kolna, i wpadła z boku na oddział niemiecki. Ten się natychmiast przeciw niej zwrócił, odpędził, zwyciężył i znaczną część ludzi do niewoli zabrał. Tego dnia jeszcze zdobyły zastępy niemieckiego wojska miasto Johannisburg i około 3000 ludzi wzięły do niewoli. Tegoż dnia także zajęto Białłę.

Dziwiącego dnia miesiąca lutego rozpoczął się marsz na miasto Lyck, w którym od dłuższego czasu stali Rosyanie. Gdy się te rzeczy na południu działy, północna armia nie spoczywała, ale według planu bardzo szczegółowo opracowanego naprzód kroczyła.

Te oddziały miały zadanie wypędzić prawe skrzydło wojsk rosyjskich z ich stanowiska i na wschód wyprowadzić. Rosyanie mieli mocne pozycje; okopy silne, wymurowane, a przed tymi druty, przez które trudno było się przebić. W myśl planu ataku mieli Niemcy dnia 9. lutego uderzyć na wroga. Naraz spostrzegli, że w obozie rosyjskim dziwny ruch panuje; podobno wojsko zamierza opuszczać stanowiska swoje i nocą się cofać. Nie chcąc pozwolić, by uszło bezkarnie, z wieczora dnia 8. lutego na nie uderzyli. Było to zuchwalstwem, bo jeszcze nie byli uszykowani. Artylerji nie było jeszcze na jej stanowisku, karabiny maszynowe też jeszcze w tej chwili nie nadeszły. Nie zważając na to, dnia 8. lutego około wieczora zastępy Niemców uderzyły silnie na nieprzyjaciela i ze stanowiska mocnego wyparły. Rosyanie w kierunku wschodnio-południowym odeszli. Niemcy za nimi! Z największem wysileniem okrażali wroga, pędząc go i ścigając w kierunku południowo-wschodnim. Gdy byli w Wirballen, mieli zajętych Rosyan przeszło 10.000, kilka-naście dział i karabinów maszynowych, mnóstwo wozów z amunicją i — 80 kuchni wojennych z wielkimi zapasami żywności. Dnia 12. lutego byli już zupełnie w ziemiach rosyjskich. Dwie dywizye rosyjskiego wojska były zupełnie starte i zniszczone, a jedna dywizya w większej połowie zupełnie rozbita.

Gdy z północnej strony wojska rosyjskie z kraju wychodziły, nie mogły stojące w południowej stronie pozostać na miejscu. Także zaczęły wchodzić w poruszenie. Wówczas żołnierze pospolitego ruszenia opuścili okopy i het! na wroga. Cała linia bojowa zaczęła się ruszać, idąc w kierunku na miasto Lyck, które bardzo dużo od nieprzyjaciela wycierpieć musiało, a teraz było punktem środkowym wielkiej akcji niemieckiego wojska.

Marszałek Hindenburg zawsze tak robił, że gdy plan wielki zbliżał się do końca, zaprosił cesarza, aby był świadkiem akeyi wojska. Ilekroć tedy w ciągu wyprawy stawiał się cesarz, było to znakiem dla wojska i świata, że cios ciężki spadnie niebawem na wroga.

Dnia 19. lutego przybył cesarz do miasta Lötzen. Od północy pędziły wojska niemieckie nieprzyjaciela w kierunku miast Augustowa i Suwałki. Od południa biły go oddziały inne około Lycka. W tej stronie zajęli Rosyanie bardzo mocne stanowiska. Jeziora wielkie były zamazłe i nie było niebezpieczeństwa dostania się w wodę. Okopy zrobili ufortyfikowane i postanowili nie ustąpić z miejsca przynajmniej tak długo, aż główne siły będą ocalone. Pułki stojące około Lycka składały się z ludzi sybirskich okolic, silnych i zdrowych, dobrze ożywianych, w ciepłych mundurach i przyzwyczajonych na sybirski klimat. Nie łatwo było wypędzić ich z miejsca, tem więcej, że same ruszyć się nie chciały. Uderzenie silne pruskiego wojska wyparło Rosyan ze stanowiska. Główna ich siła stała między wioską Woszczelen i jeziorem Lykiem, broniąc przystępu do samego miasta. Wściekła walka wrzała, aż i tu wroga wyparto z miejsca i Lyck zdobyto, co się stało około południa 14. lutego. Na tę wiadomość pośpieszył cesarz do miasta Lyck. W drodze już spotkał kolony rosyjskie, wzięte do niewoli. Automobil stanął, cesarz wysiadłszy, oglądał pojmanych, z nimi rozmawiał w rosyjskim języku, pytając się, skąd są i gdzie służyli. Potem jechał dalej, do samego miasta. Wysiadł z powozu, stanął na rynku, gdy kolony pruskie mimo przechodziły. Ludzie zmęczeni do ostateczności od zimna i marszów, ledwie iść zdołali; ale gdy koło cesarza kroczyli, nikt na nich nie poznał śladu zmęczenia; tak dziarsko kroczyli.

Naraz cesarz wydał rozkaz, wołając: „Stój!“ Cała linia stanęła jak wryta. Potem głos zabrał i jędrnemi słowy do nich przemówił, uznając ich męstwo i wielką cierpliwość, dziękując za wszystko, co uczynili dla niego samego i dla ojczyzny. A oko każdego płonęło zapałem. Bo też otoczenie, wśród którego stali, nader dziwne było. Po prawej były ruiny kościoła nowego, pięknego. Potężna wieża była rozwalona, dach na kawałki rozdarty i rozbity. Domy po prawej i lewej cesarza do gruntu zniszczone wypalone. Belki zczerniałe sterczały ku niebu. Wśród spustoszenia ocalał tylko pomnik żołnierzy, którzy roku 1870 w wojnie francuskiej życie położyli.

Po uroczystości na rynku Lycka pojechał cesarz do wioski Sybba powitać żołnierzy pruskiego pułku, którzy się w on dzień sławą okryli. Tej samej chwili ruszyły wojska w pogoń za wrogiem, który uciekał, tak że następnego dnia 15. lutego 1915 ani żywej duszy wojska rosyjskiego na ziemi Pruskiej więcej nie było.

Zniszczenie armii rosyjskiej.

Po krótkiej, bo kilkugodzinnej przerwie na ulicach Lycka rzuciły się wojska pruskie w pogoń za uciekającym nieprzyjacielem. Co młódz niemiecka w tym względzie zdziałała, przechodzi prawie wszelkie pojęcia. Śniegi ogromne zalegały pola, mrozy trzaskające panowały w kraju, drogi nie było, konie się w śniegach przekopać nie mogły — to nie nie znaczyło. Żołnierz niemiecki pędzi i pędzi, prześladować wroga. Ten kilkakrotnie zatrzymał się w biegu; stanąwszy, skupiał rozbite szeregi, próbował je zwrócić na przesładowców; lecz mimo największego usiłowania na

żadnem miejscu nie miał powodzenia. Wojska niemieckie pędzą i biją, aż Rosyanie uciekający w ogromnym lesie pod Augustowem znaleźli przytułek. Tam je Hindenburg zewsząd otoczył i trzymał jak w łapce. Niepogoda, mrozy, głód i niedostatek zmusił rozbitki do złożenia broni i poddania się. Cała armia rosyjska dziesiąta została zniszczona. Przeszło stotysięcy wojska wzięto do niewoli. A zdobycz zabrana była tak wielka, iż dni kilkanaście potrzebowano, aby ją przejrzeć, uporządkować. Do Augustowa i do Suwałek sprowadził zwycięzca 100 rosyjskich armat wszelkiego kalibru. Nie mało trudu i czasu zabrało uprzątnienie innych zdobytych rzeczy. Na drodze do Grodna stało 50 rosyjskich wozów, pełnych amunicyi. W pobliżu miasta były w lesie szańce, za którymi cztery dywizye wojska szukały schronienia, czekając pomocy, która od wschodu się przybliżała. Nowe rosyjskie wojska śpieszyły na pomoc, by odpędzić wroga i uciśnionych wybawić z niewoli. Na próżno! Siły niemieckie rzuciły się gwałtem na maszerujących, zbiły, rozproszyły, wzięły do niewoli i na oszańcowanych znowu powróciły. Nic nie pomogło, musieli się poddać i do niewoli zostali zajęci. Około folwarku na Lubinowie było sto wozów z amunicją. Całe stada koni z potarganą zbroją błakały się w koło; ludzie uciekli lub w zgiełku padli, konie bez woźniców szły przed wozami, wbiły się, splatały w ogromnym zamęcie; w końcu przerażone potargały zbroję i uciekły z drogi, albo w zamęcie zbiły się, zginęły. Około Wolkusza było koło drogi kilkaset wozów z amunicją, z żywnością, sprzętami; wiele ich leżało około drogi kołami w górę. Konie nie mogąc przebić się w natłoku, skoczyły w bok z grobli, a wozy za nimi zwały się w dół. Na innych miejscach leżały kupy rosyjskiej

broni, karabinów, szabel, bagnetów i patron. Słowem był to zamęt i klęska okropna. Armia narewska nie istniała więcej.

Gdy jej dowódca rosyjski generał Sievers, stanął przed księciem Mikołajewiczem, ten wściekły się rzucił na niešťczęśliwego, zerwał oznaki wysokiej godności i nogami zdeptał. Czy Sievers zawinił, lub czy niewinnie był sporniewierany, trudną będzie stwierdzić. Nie mógł on za to, że Hindenburg więcej miał od niego sprytu, że wojska niemieckie więcej zapалу, poświęcenia miały, walcząc za ojczyznę, którą im odebrać i zniszczyć chciano. Tak się zakończyła walka na Mazurach. Imię zwycięzcy genialnego w kartach historii zapisane będzie.

Zdawało się teraz, że się wojna skończy, że wojska rosyjskie zdziesiątkowane zapragną pokoju. Ale niestety, podobne życzenia się nie ziściły. Przeciwnie gorętsze nastwały walki. Cesarstwo rosyjskie ma rozmiar ogromny; a choć ludność jego nie jest tak gęsta, to jednak zastępy są niewyczerpane. Padnie ich tysiąc, padnie sto tysięcy, to nie nie znaczy. Nowe armie stawają na miejscu i idą do boju.

Hindenburg nie spoczął. Jedne oddziały jego armii poszły na północ, ogarnęły Litwę i Kurlandę, wszędzie przed sobą wroga odpierając. Inne wkroczyły w ziemie polskie i w wschodnim kierunku naprzód postępując współ z wojskami austriackimi wszystkie dzielnice Królestwa Polskiego z kolei zajęły. Jak daleko pójdą, jaki będzie wynik tej wielkiej wyprawy, dziś określić trudno. Przyszłość jednostek i całych narodów jest w ręku Boga!

Liczba wrogów naszych w obecnej wojnie jest ogromnie wielka. Wszyscy mają zamiar ojczyznę naszą i nas, jej dzieci w niwecz obrócić. W celu powyższym używają

środków, o jakich człowiek nie byłby pomyślał, że w wieku dwudziestym użyte być mogą. Dzieją się niekiedy takie barbarzyństwa, o jakich w pogaństwie nawet nie słyszano. Nieraz stwierdzono, że wśród wrogów naszych najłagodniejszymi są Rosyanie.

Sven Hedin.

Na terenach walki wschodnich i zachodnich często bawił znany podróżnik szwedzki Sven Hedin. W dawniejszych latach bywał w Azji, zwiedzając stepy Mongolii i Tybetu, gdzie dotąd noga Europejczyka jeszcze nie stała. Gdy wojna wybuchła, pozostał w domu, od czasu do czasu zjawiając się wśród wojsk niemieckich i austriackich, aby być świadkiem ich waleczności. W głównej kwaterze marszałka wojsk naszych, arcyksięcia Fryderyka, bawił kilka razy. Pobyt swój w Belgii i na wschodnim froncie opisał w dwóch księgach. Spostrzeżenia jego są zajmujące. Między poległymi Rosyanami znalazł dużo listów, które rodziny w stronach Syberyi do swoich pisały. Zebrał niektóre i ogłosił drukiem. Ze wszystkich przemawia serdeczna troskliwość małżonek, matek i dzieci o swoich, którzy na zachodzie na wojnie bawią. Nasze małżonki, matki i dzieci, nie mogą serdeczniej pamiętać o swoich, niż owe rodziny, które gdzieś daleko na sybirskich stepach mieszkanie mają. Sven Hedin czytając te rozliczne listy, jedną prawdę stwierdza, tę mianowicie, że nigdzie nie znalazł najmniejszego śladu jakiej nienawiści do Austriaków albo do Niemców. Boleją rodziny, że ich ukochani poszli na wojnę, nie wiedząc dlaczego. Tak Bóg dopuścił, tak car rozkazał; lecz na wrogów swoich nie złego nie wiedzą.

— Ze strony Rosyan nie ma nienawiści, tak jak się objawia ze stron innych wielu. W Galicyi nawet załoga rosyjska w całości dosyć łagodnie obchodziła się z ludźmi, z wyjątkiem żydów, którym miejscami bardzo dokuczała. To samo wojsko zupełnie inaczej na Wschodnich Prusach gospodarowało — jakby dziec jaka. Sven Hedin zwiedził owe okolice i pisze o nich co następuje:

Do miasta Goldap przyszli Rosyanie dwa razy; pierwszy raz dnia 18. sierpnia, drugi raz dnia 11. listopada 1914. Na rynku były wszystkie kamienice do szczytu spalone oprócz trzech domów. Sterczały tylko zaczadzone mury. Jeden dom lubo nieco opalony, pozostał cały; ogień podłożono, ale się załumił. Wnętrze domu, widać, było zrabowane i w okropny sposób zanieczyszczone. Sprzęty i obrazy, których nie zabrano, były potłuczone, na kawałki rozbite, we wszystkich pokojach były kloaki. W mieście były dwie apteki; obie Rosyanie do gruntu zniszczyli. Flaszki i wazy na kawałki stłukli, skrzynie poprzewracali, proszki i lekarstwa porozrzucali, po podłodze rozsypali, aby Niemcy nic nie znaleźli. Na szpitalu miasta była chorągiew Czerwonego krzyża, lecz nic nie pomogło, Rosyanie szpital do szczytu spalili. Ocalał we wnętrzu tylko obraz Chrystusa Pana, wiszący na ścianie. Kościół ewangelicki przemienili na cerkiew prawosławną i tym sposobem uszedł zniszczeniu. Wodociągi miasta porozbijali i w niwecz obrócili. W mieście było 450 kamienic; z tych utrzymało się 150 całych, wszystkie inne, w liczbie 300, spłonęły w płomieniach. Gdy Rosyanie wkroczyli do miasta, udał się burmistrz do komendanta z prośbą o opiekę, aby im miasta nie plądrowano. Ten słowem honoru dał zapewnienie, że niczego nie narusza. Tej samej nocy koszary spalono. Znowu burmistrz

idzie i prosi o względy. Komendant tłumaczy, że przez pomyłkę przyszło do pożaru. Odtąd już lepiej uważać będą. Wieczór znów jeden z domów był w płomieniach. Burmistrz zaś idzie do naczelnika, tłumacząc przed nim, że Rosyanie chcąc potrzymać miasto, sami sobie szkodę pożarem sprawiają. Uznał to komendant, obiecał lepiej pilnować porządku; lecz przyszłej nocy znowu się pożar szerzył po mieście.

Bawiłem chwilę w budynku burmistrza; wezwano kilka staruszek miasta, które tam były, gdy nieprzyjaciół do niego wkroczył. Stała staruszka licząca wieku lat 78. Ze łzami mówiła, jak ją żołnierze wściekle zgwałcili i zarazili. Gdy Rosyanie weszli do miasta, zamknęli ją w pewnym domu razem z innymi kobietami, aby nie wiedziały, co się z ich mieniem dzieje. Trzy dni i trzy nocy były w zamknięciu i w tym długim czasie raz tylko jeden dano im jakiejś zupy na pokarm. Wszystkie kobiety, nawet najstarsze, na gwałt i na hańbę żołnierzom wydano. Pewien obywatel, imieniem Holtzmann, z powołania garbarz, miał u siebie w domu swą starą siostrę. Ta prawie wyszła z domu na ulicę, gdy kilka kozaków wpadło do domu. Holtzmann, będąc chory, leżał prawie w łóżku, gdy mu kozacy dom zapalili. Nie mogąc uciec, zginął w płomieniach. W tym celu mieli kozacy u siebie delikatne płatki celuloidy, które zapalone nie dały się zgasić, choćby je nawet nogą przytłoczył. Nic łatwiejszego, jak rozbić szybę okna na parterze, wrzucić do mieszkania zapalony skrawek i budynek cały stanie w płomieniach. Czy te spustoszenia były nakazane, czy dzika natura rosyjskich kozaków je wymyśliła, trudno odgadnąć; ale to pewna, że w dzikiej wojnie trzydziestoletniej okropniejszych rzeczy nie wyprawiano. Ludność Prus Wschodnich nie może zapomnieć hańby i gwałtów, jakich

ich żony i córki doznały, zapomnieć zniszczenia i spustoszenia, które wojska cara na miasta i wioski pruskie sprowadziły.“

Słyszac o tych rzeczach dziękujmy Bogu, żeśmy w własnym kraju dotąd spokój mieli, bośmy na sobie jeszcze nie doznali, co wojna znaczy. Ale też prosimy, gorliwie błagając: Boże niebieski! zmiłuj się nad nami! Przywróć nam, Panie, pożądany pokój!

Uwagi.

Nikt nie pomyślał, żeby w wieku naszym, w wieku oświecenia i cywilizacyi mogło przyjść do wojny, a to tak okropnej, jakiej dotąd w świecie nigdy nie było. A jednak takowa szaleje już dawno i nikt jej końca przewidzieć nie zdoła. Jest jako pożar wśród wielkiego wichru. Gdy jeden budynek stanie w płomieniach, jeszcze jest nadzieja, że ogień ugaszą; lecz kiedy wieś cała lub miasto wielkie naraz się pali, tu pomocy niema, chyba Bóg z nieba takową ześle. Jest jako powódź ogromnie wezbrana. W czasie pogody regulują ludzie bieg rzeki i sypią okopy i groble i są tego pewni, że im już woda szkody nie wyrządzi. Naraz przyjdzie powódź, roboty zniszczy i wsie i miasta wodami zaleje. Taką powodzią jest grzech wrodzony serca człowieka. „Myśli serca człowieczego są złe od młodości jego.“ Groblą usypaną jest wychowanie, jest religia i jej zasady. W spokojnym czasie to niby wystarczy, lecz w czasie wojny wszystkie te tamy zostaną zerwane, a okrucieństwo jak istny potop zalewa kraje, aż Bóg pomoc ześle. Oby nam takowej użyzyć raczył. „Ratuj nas, Panie, albowiem giniemy.“

A cóż jest powodem takiego wezbrania? Na pierwszym miejscu Boże dopuszczenie i kara za grzechy, jak było za dni dawnego Noego. „Nie będzie się duch mój wadził z człowiekiem, gdyż jest ciałem.“

Na drugim miejscu są nasze grzechy, zazdrość, nienawiść i pycha serca, tak u jednostek, jak całych narodów. Tak było dawniej, tak jest po dziś dzień. Kain i Abel byli z rodu braćmi. Obydwa składali Panu ofiarę. Bóg wejrzał łaskawie na ofiarę Abla, lecz na Kaina i ofiarę jego nie wejrzał. W sercu Kaina powstała zazdrość, a skutkiem było, że brata zabił. Strzeżmy się zazdrości, tak osobistej jak narodowej. Gdzie za wście panuje, tam też nienawiść od razu się zjawi. Nienawiść wśród ludzi była ogromna przed wybuchem wojny tak u jednostek, jak całych narodów. Jeden drugiego pragnął zniszczyć, zabić! A źródłem złego była pycha serca, która powiada: „Ażam ja stróżem brata mojego.“

Bóg nas do ciężkiej wprowadził szkoły. Wejdźmy tedy w siebie, zwróćmy się do Boga, a niech nie będzie sporu między nami, bo jesteśmy braćmi.“

Następujący zeszyt opisze
„Jak twierdze padają“.

Wszystkie zeszyty (10) w jedną książkę związane (320 stronic) podadzą czytelnikowi, co człowiek o wojnie powinien wiedzieć.

Cena 46 halerzy.

Nakładem »Zakładu jubileuszowego imienia Cesarza Franciszka Józefa I. dla sierot w Trzyńcu«.

C. i k. nadworna drukarnia Karola Prochaski w Cieszynie.

